świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

NR 70 (2270) | PIĄTEK 31 sierpnia 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

CZŁOWIEK i PTAKI

WÓZ DRZYMAŁY — stary wagon bez kół — od zewnątrz obity papą, a od wnętrza trzcinową matą, stanowi luksus. W tym „luksusie" Jerzy Noskiewicz spędził niejedną wiosnę, lato, jesień, niejedną zimową zawieruchę. Pan Jerzy Noskiewicz jest bowiem kierownikiem Stacji Ornitologicznej Świdwie.

Żeby nie było nieporozumień wyjaśnić muszę, że Stacja, działająca wprawdzie pod opieką merytoryczną Rady Naukowej prowadzona jest na zasadach pracy społecznej. Ludzie — ci młodsi, których ze Szczecina dojeżdża tu w każdą sobotę i niedzielę kilku, i ci starsi — żadnej zapłaty za swoją pracę nie biorą, a sam jej kierownik, pan Noskiewicz, na swoje i Stacji utrzymanie... wynajmuje się do prac w lesie, jako zwykły robotnik. A, że przeważnie są to prace przy karczowaniu drzew, więc okoliczni mieszkańcy przezywają go po prostu „pan docent od karpiny".

C. d. na str. 4–5

Dziecko w pudle? To Krysia, najmłodsza solistka zespołu, schowała się na chwilę w futerale od kontrabasu.

Nie tak łatwo być ARTYSTĄ

Do naszej redakcji często przychodzą listy z prośbami: „Interesuję się muzyką i śpiewem. Powiedzcie, co trzeba robić aby zostać aktorką lub piosenkarką?" Autorkami listów najczęściej są dziewczęta marzące o szybkiej i błyskotliwej karierze. Rzadko która z nich zdaje sobie sprawę z tego, jak pracowite i pełne wyrzeczeń życie prowadzą artyści.

Centralny Zespół Harcerski przy Teatrze Wielkim w Warszawie pod dyrekcją Władysława Skoraczewskiego, po trudach całego roku pracy, wypoczywał podczas wakacji w Cieplicach.

Dziewczęta marzące o karierze piosenkarek prawdopodobnie patrzą z zazdrością na członków zespołu, którym „się udało", bo jeżdżą za granicę, występują w telewizji, a ich koncerty są zawsze burzliwie oklaskiwane. Aby jednak doprowadzić do tego trzeba dużo, dużo ćwiczyć.

C. d. na str. 3

JUŻ ZA MIESIĄC

MINIKARY NA START

Foto J. Kasprzak

JUŻ TYLKO MIESIĄC pozostał do startu w II Ogólnopolskich Zawodach Minikarów. Czy Twój pojazd jest już gotów do jazdy? Czasu jest niewiele, pospiesz się zatem z ostatnią „kosmetyką" minikara.

W następnym numerze zamieścimy KARTĘ UCZESTNICTWA w kolejnych zawodach, które podobnie jak w roku ubiegłym odbędą się w Warszawie, na Agrykoli, w dniu 29—30 września. Nie przegap zatem następnego numeru.

Jak zatrzymać LATO

Gdy trzcina zaczyna płowieć,
a żołądź większy w dąbrowie,
znak, że lata złote nogi
już się szykują do drogi.

Lato, jakże cię ubłagać,
prośbą jaką? łkaniem jakim?
Tak ci pilno pójść i zabrać
w walizce zieleń i ptaki?

Ptaków tyle. Zieleni tyle.
Lato, zaczekaj chwilę!

(K. I. Gałczyński)

TAK, to już za niespełna cztery tygodnie zacznie się kalendarzowa jesień. Zanim to jednak nastąpi, zastanówmy się, jak zatrzymać lato. Ale nie, nie porę roku (bo na to na razie nie mamy metody), lecz dobre skutki lata, czyli te korzyści, jakie Waszym organizmom przyniosły wakacje. Wróciliście z nich wysmagani wiatrem, ładnie opaleni słońcem, zahartowani wodą. Odprężeni, pełni wrażeń. Naładowani energią, weseli. Po prostu — zdrowi. — Co robić, żeby tę dobrą formę utrzymać przez cały rok szkolny aż do wakacji następnych? Jak dbać o higienę ciała — zapewniającą zdrowy i estetyczny wygląd? Jak układać plan dnia, aby starczyło czasu na naukę, odpoczynek i rozrywkę? Jaki sposób organizowania pracy umysłowej wybrać, żeby siedzenie nad książką i zeszytem nie trwało zbyt długo, za to dawało dobre rezultaty w postaci piątek, a co za tym idzie — było źródłem zadowolenia i pogody ducha.

O poradę poprosiliśmy jednego z członków kolegium redakcyjnego miesięcznika „Żyjmy Dłużej" — dr. med. Mariana Zajfena. Pan doktor jest autorem poradnika higieniczno-kosmetycznego dla młodzieży, który w niedalekiej przyszłości ukaże się nakładem wydawnictwa „Watra".

SŁOŃCE, RUCH, KĄPIELE

● We wrześniu słońce jeszcze zupełnie dobrze przygrzewa. Wykorzystajcie to wczesnym rankiem i wczesnym popołudniem a także na pauzach między lekcjami. Promienie słoneczne wpływają hamująco na łojotok, a więc poprawiają cerę, zaś opalenizna jest twarzowa dla Was wszystkich.

● Każdy dzień powinien się zaczynać, zaraz po wyjściu z łóżka poranną gimnastyka przy otwartym oknie. Dopiero po niej kolej na codzienną ciepłą kąpiel, zakończoną przedłużanym stopniowo z dnia na dzień aż do zimy zimnym natryskiem, podczas którego nacieramy ciało szorstką rękawicą. To doskonała metoda na zahartowanie.

● Niezmiernie ważne jest uprawianie w ciągu dnia sportów, spośród których szczególnie polecamy tenis, pływanie i kolarstwo. Rower nie powinien być wyczynowy, bo wtedy podczas jazdy grzbiet jest zgięty w kabłąk, a nam chodzi o utrzymanie prostej postawy. Nie zapominajcie o sobotnio-niedzielnych dłuższych wypadach na piesze wędrówki.

● Sen to zdrowie; powinniście spać od 8 do 10 godzin na dobę. Aby zmniejszyć ilość stressów i podniet utrudniających spokojny sen, zrezygnujcie z oglądania TV po godzinie 21,00, (najlepiej kłaść się o 9 wieczorem a wstawać o 6.30 rano). Póki można, śpijcie przy otwartym oknie. W zimie mieszkanie musi być często wietrzone.

KIEDY ODRABIAĆ LEKCJE?

SĄ DWA SPOSOBY odrabiania lekcji: 1) tego, co NA JUTRO jest zadane, 2) tego, CO DZISIAJ zostało zadane.

Plusem PIERWSZEJ metody jest to, że idziemy do szkoły z materiałem świeżo przygotowanym. Minusem, że podczas odrabiania nie pamiętamy już tego, co na dany temat było mówione w szkole. Stosując DRUGĄ metodę mamy tę korzyść, że dobrze pamiętamy nowy materiał, ale za to (co jest minusem) przygotowując zadanie domowe z kilkudniowym wyprzedzeniem, możemy na przykład do czwartku zapomnieć to, co odrabialiśmy we wtorek.

Oto moja rada — mówi dr Zajfen. — ODRABIAĆ TO, CO DZISIAJ ZOSTAŁO ZADANE, a potem szykując teczkę na jutro powtórzyć wyuczony materiał lub przeczytać zadania i wypracowania. Dlaczego tę metodę uznaję za lepszą? Bo jeżeli się okaże, że zadanie domowe jest dla ucznia za trudne, to ma on czas na szukanie pomocy u nauczyciela, zdolniejszych kolegów, na poszperanie w podręcznikach. Natomiast przy stosowaniu sposobu pierwszego apelacji nie ma i grozi dwója.

Jeszcze jedno, w miarę możliwości nie odrabiać lekcji późnym wieczorem, po kolacji. Ten czas lepiej wykorzystać na trwającą blisko godzinę, energiczną przechadzkę.

Opracowała:
T. Droga-Kupczyńska

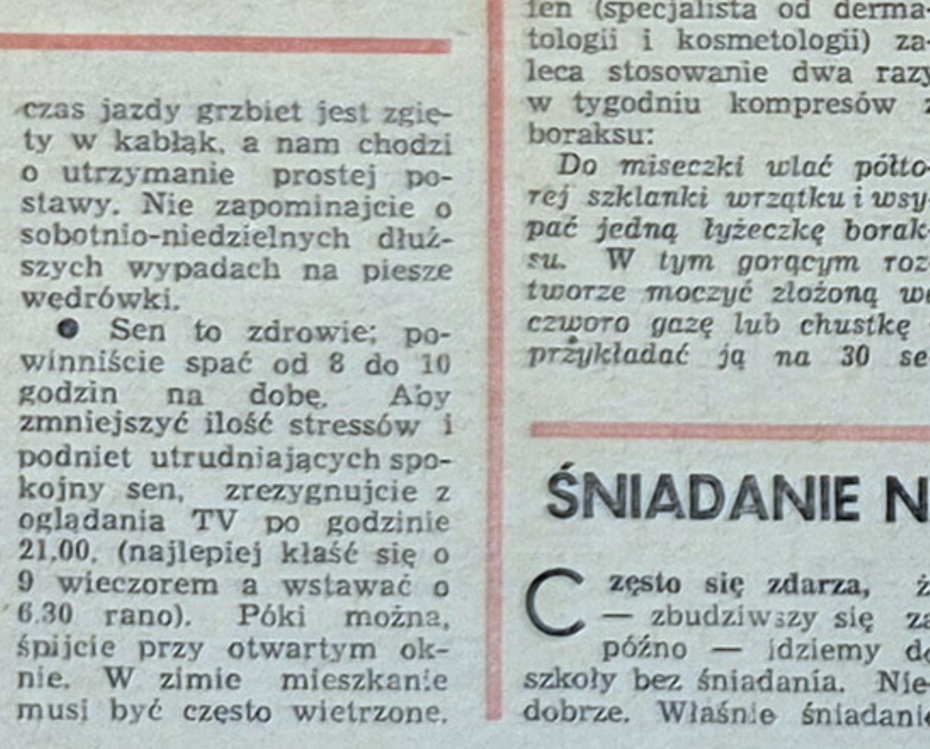

NIE WSTYDZIĆ SIĘ OKULARÓW!

PRZY PRACY UMYSŁOWEJ światło musi padać z lewej, nigdy z prawej strony! Chodzi o to, aby cień rzucany przez rękę trzymającą pióro nie zasłaniał kartki, a tym samym nie osłabiał wzroku. Żarówkę trzeba osłonić odpowiednim abażurem, gdyż światło powinno padać na książkę i zeszyt, a nie na twarz.

Przy zajmowaniu miejsc w ławkach klasowych nie zapominajcie o tym, że uczniowie gorzej widzący muszą siedzieć bliżej tablicy. Mam nadzieję, iż nie trzeba Was zapewniać, że noszenie okularów nikogo nie szpeci. Pamiętajcie o częstym ich zmienianiu, bo głowa rośnie, a za mała oprawka, uciskając, spowoduje powstanie tzw. sępiego nosa.

NIE TYLKO DLA DZIEWCZĄT

Cera z łojotokiem, czyli taka, która w godzinę po umyciu wodą i mydłem znów błyszczy, charakteryzuje się występowaniem zaskórników — czarnych punkcików na nosie i w jego okolicy. Dziewczętom (ale chłopcom także), którzy mają właśnie takie kłopoty pan dr Zajfen (specjalista od dermatologii i kosmetologii) zaleca stosowanie dwa razy w tygodniu kompresów z boraksu:

Do miseczki wlać półtorej szklanki wrzątku i wsypać jedną łyżeczkę boraksu. W tym gorącym roztworze moczyć złożoną we czworo gazę lub chustkę i przykładać ją na 30 sekund do umytej uprzednio twarzy. Gdy kompres zacznie stygnąć, zamoczyć gazę ponownie. Czynność powtarzać przez 5 minut. Po zakończeniu spłukać twarz chłodną wodą.

Jeśli prócz łojotoku występuje trądzik, dobrze jest 1—2 razy dziennie przetrzeć twarz spirytusem salicylowym, płynem „Non-stop" lub aknosanem. Na noc używać kremu przeciwtrądzikowego o nazwie PT.

Zdrowa cera do 18 roku życia nie wymaga żadnych kosmetyków prócz kremu do opalania. Wystarczy dwa razy dziennie myć twarz ciepłą wodą i dobrym mydłem.

ŚNIADANIE NAJWAŻNIEJSZE!

Często się zdarza, że — zbudziwszy się za późno — idziemy do szkoły bez śniadania. Niedobrze. Właśnie śniadanie jest najważniejszym posiłkiem dnia. Młodzi ludzie powinni jeść cztery razy dziennie (zabierajcie więc drugie śniadanie do szkoły), a w ich pożywieniu muszą się znaleźć wszystkie składniki takie jak: **białka zwierzęce i roślinne** (bo to budulec, którego nic nie jest w stanie zastąpić), **tłuszcze, węglowodany, sole mineralne, woda i witaminy**. A właśnie, **witaminy**. Teraz nadchodzi najbogatsza w owoce pora roku. Ale gdy przyjdzie zima? Warto wiedzieć, że wbrew powszechnej opinii cytryny zawierają bardzo mało witaminy C, (jedna cytryna nie więcej niż jedna mała tabletka). Natomiast bardzo dużo witaminy C posiadają: **natka pietruszki i rzeżucha**, które łatwo hodować w domu przez cały rok; **owoce dzikiej róży, kiszona kapusta**, poczciwa **cebula** i... **chrzan**.

Unikajcie nadmiernego objadania się słodyczami, a już w żadnym wypadku nie bierzcie ich do ust po wieczornym umyciu zębów.

Tak wygląda zespół w pełnej koncertowej gali.

Dzisiejszy dzień zespół spędza w Zgrupowaniu Obozów Chorągwi Dolnośląskiej w Kliczkowie. W obozie można wreszcie chwilę odpocząć, wykąpać się, pochodzić po lesie. Na dwie godziny przed koncertem trzeba jednak przygotować estradę. Ekipy technicznej nie ma. Załadowanie i wyładowanie sprzętu i instrumentów, oświetlenie, nagłośnienie — wszystkim tym również zajmują się członkowie zespołu.

Koncert przy harcerskim ognisku pod rozgwieżdżonym niebem ma niepowtarzalny urok. Co do tego wszyscy są zgodni; na żadnej estradzie nie śpiewa się tak dobrze jak w lesie i nic nie zapewni takiego nastroju jak widok dziewcząt i chłopców w mundurkach oświetlonych blaskiem ognia. Tu piosenka harcerska czuje się najlepiej.

Okna pałacu cieplickiego, gdzie zespół ma swoją siedzibę wychodzą na park zdrojowy. Kuracjusze przyzwyczaili się już do tego, że z okien pałacu dobiegają ciągle dźwięki różnych instrumentów i próby głosów. Każdy utwór trzeba ćwiczyć bardzo długo. Najpierw każdy głos oddzielnie, potem wspólnie, wreszcie z orkiestrą.

Dla dziewcząt i chłopców z zespołu jest to normalny dzień pracy. Trzeba wiele takich dni by piosenka, którą słyszycie w ich wykonaniu przez radio czy w telewizji mogła Was zachwycić.

HANNA CUDOWSKA
Zdjęcia K. Adamowski

Powitanie zespołu na Zgrupowaniu Obozów Chorągwi Dolnośląskiej w Kliczkowie. W podzięce za gościnę zespół dał wieczorem wspaniały koncert przy ognisku.

Nie tak łatwo być ARTYSTĄ

Trzeba wielu żmudnych prób, aby piosenka podobała się słuchaczom.

Historia w guzikach wojskowych

Mieszkaniec Nowej Soli, pan Stanisław Filus, jest chyba jedynym w Polsce kolekcjonerem oryginalnych mundurowych guzików wojskowych. Zapoczątkowane w hitlerowskim obozie jenieckim trzydzieści lat temu osobliwe zbiory reprezentują dziś guziki ponad stu armii świata.

Zabytkowa wartość tej kolekcji polega przede wszystkim na tym, że większość armii do których guziki pana Filusa należą, już nie istnieje. Najstarszym okazem jest guzik wojskowy z czasów Kazimierza Jagiellończyka, noszący datę 1484 roku. Inne pochodzą z okresu legionów Dąbrowskiego we Włoszech, z okresu powstania styczniowego, z czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a także panowania Marii Teresy i cara Piotra Wielkiego.

Swego rodzaju unikatem jest niepowtarzalny egzemplarz prymitywnie odlanego, zapewne w warunkach chałupniczych, guzika z inicjałami na odwrocie „AK-Radomsko". Oczywiście w kolekcji pana Filusa znajdują się guziki wojskowe z okresu międzywojennego i Ludowego Wojska Polskiego. (jk)

C. d. ze str. 1

Wszyscy członkowie zespołu są harcerzami lub instruktorami więc musi się również znaleźć czas na pogłębianie wiadomości, zdobywanie stopni i sprawności harcerskich. Wakacyjny dzień jest więc szczelnie wypełniony. Do południa jest czas na pracę harcerską, po południu — próby, a wieczorem — koncert.

Upał. W autokarze nie ma czym oddychać. Wszyscy są bardzo zmęczeni. Poprzedniego dnia zespół dał dwa koncerty w miejscowościach uzdrowiskowych w Polanicy i Ladku Zdroju. Powrót o 2.00 w nocy.

NAL

DO WSZYSTKICH „ŻUBRÓW" I „ORŁÓW"! Wkrótce zamieścimy meldunki z wyprawy po „Złote runo", i z finałowego pożegnania grup z latem! Dziś o pożegnaniu ze słoneczną przygodą piszą uczestnicy stanicy NAL w Ozorkowie.

Sztab WTP-73

Spotkamy się za rok

Niedawno nastąpiło uroczyste zakończenie NAL w stanicy w Ozorkowie, woj. łódzkie. Każdy zastęp otrzymał za zadanie zrobienie obrachunku ze swego działania, tzn. wypisać na kartce najciekawsze zajęcia, zabawy, przygody i przeżycia, które po zakończeniu lata pozostaną najdłużej w pamięci. Wspomnień zebrało się sporo. Najciekawsza była wyprawa „Zielony liść dla Czarnej Sowy" — wyprawa do lasu miejskiego po materiał na totemy, a także

— robienie szkiców terenu

— uroczysta obietnica i zmagania z ciemnością i strachem.

Bardzo ciekawą wyprawą dla nas była wyprawa „Czym chata bogata", przyjęcie w czatowni i zorganizowanie „Straganu własnej wytwórczości", bal maskowy i ognisko. Urządziliśmy też występ teatrzyku kukiełkowego.

Ogromnym powodzeniem cieszyła się „Olimpiada sportowa" o tytuł mistrzowskiego „Zastępu Humoru". Uczestnicy wszystkich wypraw wymienili wiele innych zajęć, które im się podobały. Po zebraniu opinii komitet redakcyjny wypisał dokument, zapieczętował go, następnie włożył do butelki. Wszyscy razem udaliśmy się do lasku, zrobiliśmy szkic z zaznaczeniem, w którym miejscu ukryliśmy „worek z tworzywami", po tej uroczystości jeszcze raz wróciliśmy do naszej czatowni. Tu wpisaliśmy do kroniki „Orłów Południa" szkic — na drugi rok, następne „Orły" przyjdą w to samo miejsce, odszukają „worek z tworzywem" i zaczną swą pracę w naszej „Słonecznej Czatowni.". Oby bawili się równie wesoło jak my. Gorąco pozdrawiamy wszystkie „Żubry" i „Orły". Do zobaczenia za rok.

Orły Południa
Uczestnicy NAL-73
Ozorków

Janek

Okupowana Warszawa jeszcze śpi. Jest wczesny ranek, zaczyna szarzeć. Z domu przy ulicy Jasnej gestapowcy wyprowadzają młodego człowieka. Chłopak błyskawicznie rozgląda się dokoła: absolutna pustka. Kopie prowadzącego go hitlerowca i zaczyna uciekać w kierunku Świętokrzyskiej. Wie, że nie ma nic do stracenia. W czasie rewizji znaleziono u niego dwie „lewe" kennkarty i sporo pieniędzy organizacyjnych. Gestapowcy ruszają w pościg za nim. Po chwili — widocznie doszli do wniosku, że może im uciec — rozpoczynają strzelać. Chłopak pada.

— Nie żyje — powiedział któryś z Niemców trącając go.

Tak zginął JANEK KRASICKI — po śmierci Hanki Sawickiej kierownik i przywódca Związku Walki Młodych, pierwszy przewodniczący Zarządu ZWM. Wybrał śmierć wcześniejszą o parę godzin, a może o parę dni ale szybką, bezbolesną, bez przesłuchań i tortur w gestapo. Koniec byłby taki sam. Nie wydusiliby przecież z niego nic. To pewne!

CIEKAWOŚĆ

Ciekawy był świata jak każdy maluch. O wszystko pytał, wszystkich tym swoim nieustannym pytaniem zamęczał. W tej kłopotliwej dla otoczenia dociekliwości był chyba jednak bardziej od innych uparty.

— Jaka to litera? — pytał ojca, matkę, braci pokazując im ilustrowane książeczki dla dzieci albo drukowane wielkimi literami tytuły w gazetach.

Tym sposobem, zanim się ktokolwiek zorientował, mając pięć lat nauczył się wcale nieźle czytać. A potem, kiedy inni dopiero uczyli się tego, co on już umiał, stał się udręką nauczycieli. Bez przerwy zadawał pytania wykraczające poza tematy lekcji. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. W gimnazjum zadziwiał już profesorów swobodą wypowiadania się, śmiałością sądów, doskonałą pamięcią. Nikomu nie pozwalał się wyprzedzać w nauce. Nawet, kiedy poważnie zachorował i przez dłuższy czas w szóstej klasie nie uczęszczał do szkoły.

To wszystko nie przeszkadzało mu być najnormalniejszym w świecie chłopakiem. Ze swoimi braćmi bawił się w Indian, korsarzy, płatał figle.

Było to już w Święcianach na Wileńszczyźnie, dokąd rodzina Krasickich przeniosła się z Limanowej w woj. krakowskim. Na chodniku leży pięćdziesięciogroszówka. Przechodzień nie zauważa, że jest ona przedziurkowana, nie widzi też przywiązanej do niej szarej nitki. Schyla się

żeby podnieść monetę, ale zanim jej dotknął, zaczyna mu ona uciekać. Zza krzaków dochodzi go wybuch śmiechu. To do rozpuku zaśmiewa się Janek ze swymi braćmi, Jurkiem i Witoldem.

POSZUKIWANIA

W gimnazjum wstąpił do harcerstwa. Zapalonym harcerzem był jeden z jego profesorów, polonista Maciusowicz. Prowadził on z dużym talentem szkolną drużynę. Harcerstwo początkowo porwało Janka. Pasjonuje go zwłaszcza to, że na wycieczkach i obozach trzeba sobie umieć radzić we wszystkich sytuacjach, wszystko zrobić samodzielnie, przezwyciężać swoje zmęczenie, posiadać szybką orientację. Harcerskie wędrówki wprowadzają go też bliżej w świat mało dotychczas znany. Poznaje życie okolicznych wsi.

Jest wieczór, płonie ognisko. Wokół zasiadła drużyna. Przyjemnie jest patrzeć na wzbijające się w górę skry, zadumać się śpiewając piosenkę. Zaczyna się gawęda: o harcerskim obowiązku pomocy bliźnim, słabym i nieszczęśliwym. Wygłaszający barwnie maluje postacie szlachetnych rycerzy, wzór harcerskich cnót.

Gdzieś tam z boku przyglądają się ognisku miejscowi — trochę dzieci, paru wyrostków, kilka osób starszych. Są zabiedzeni i obdarci. Janek już wie, że w wielu chłopskich domach brakuje nawet soli do kartofli. Na myśl, że jutro ma do tych ludzi wygłosić pogadankę o racjonalnym odżywianiu się, ogarnia go wstyd. „Dlaczego panuje taka bieda i jak ją zwalczyć?" — na to najważniejsze i najtrudniejsze pytanie nie znajduje niestety odpowiedzi w ówczesnym harcerstwie. A ta sprawa pochłania go teraz bez reszty.

Zwierzy się z tych swoich rozterek w szkolnej gazetce pt. „Piszemy": *„Wielu z nas zastanawia się nad różnymi przejawami życia. I nurtują nas różne idee. Buntujemy się przeciw starym formom. Chcemy wszystko stwarzać, wszystko od nowa, budować świat nowy. Widzimy dużo zła dookoła. Rzucamy się w najskrajniejsze kierunki, gdyż chcemy wszyscy, aby było lepiej."*

Przypadek — a może i nie przypadek — zrządził, że ktoś z przyjaciół, Białorusinów pożyczał mu „Manifest Komunistyczny" w języku rosyjskim. Zna już w tym czasie biegle niemiecki, rosyjski, białoruski i litewski. Ułatwia mu to sięgnięcie po kolejne prace Marksa. W nich wreszcie znalazł odpowiedź.

WALKA

W 1936 roku święciański oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego obchodził swoje piętnastolecie. W czasie uroczystej mszy miejscowy ksiądz, odgrywając się za to, że nie pozwolono mu stworzyć w szkole „getta ławkowego" dla młodzieży żydowskiej, zbeształ nauczycieli nazywając ich bezbożnikami i wywrotowcami. Kiedy kończąc kazanie wezwał młodzież, by na kolanach błagała Boga o nawrócenie grzeszników, Janek demonstracyjnie wyszedł z kościoła.

Ksiądz dobrze sobie to zapamiętał. Odmówił złożenia podpisu na świadectwie maturalnym Janka. Ustąpił dopiero, kiedy o tej historii zaczęły pisać gazety. Wtedy jednak w sukurs księdzu przyszedł starosta. Zarządził przeprowadzenie rewizji w domu Krasickich. Mimo że policja nie znalazła żadnej zakazanej literatury, Janka dwa dni przetrzymano w areszcie.

Ale nic nie jest go już w stanie zatrzymać w połowie drogi, którą wybrał. Jest konsekwentny. Nawiązuje kontakty ze Związkiem Młodzieży Komunistycznej. W 1937 roku na Uniwersytecie Warszawskim wstępuje do komunistycznej organizacji OMS „Życie". Później w latach 1940 — 1941 działa we Lwowie w Komsomole. Wysuwa się tam na czoło wśród działaczy młodzieżowych i wkrótce zostaje drugim sekretarzem Komitetu Miejskiego.

Wiosną 1942 roku spełniają się jego marzenia: wraca do kraju w składzie tzw. drugiej grupy inicjatywnej, biorącej udział w organizowaniu Polskiej Partii Robotniczej. W rok później po śmierci Hanki Sawickiej — partia poleca mu objąć kierownictwo Związku Walki Młodych.

Koleżanki i koledzy z ZWM znają go teraz jako „Kazika". Taki przyjął konspiracyjny pseudonim. Znają go z wykładów i dyskusji, które niezmordowanie prowadzi. Ma rozległą wiedzę i potrafi to robić tak ciekawie, że słuchają go nawet ci, którzy polityczną część zebrania uważali dotychczas za zło konieczne.

Każda większa akcja zbrojna ZWM-owców jest omawiana przez kierownictwo organizacji z udziałem Janka. „Kazik" jest przy tym niesłychanie skrupulatny. Każda niedokładność czy lekkomyślność może grozić utratą życia kogoś z towarzyszy. Sam osobiście podejmuje się najtrudniejszych zadań.

Latem 1943 roku na peronie Dworca Głównego w Warszawie zjawia się młody człowiek w mundurze organizacji „Todt" pracującej przy hitlerowskich budowach wojskowych. Towarzyszy mu elegancka i przystojna dziewczyna. Czułe pożegnanie sprawia na żandarmach przekonywające wrażenie, pobieżnie kontrolują dokumenty, wskazują wygodny przedział. Tak zaczyna się trwająca dwa tygodnie podróż Janka do Mińska na Białorusi. Ma stamtąd przywieźć do Warszawy Bolesława Bieruta, przyszłego przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej. Pozornie — jakie to łatwe, sielanka. A przecież przypadek, pomyłka, mała nieostrożność wystarczy, aby się zdekonspirować. Dwa tygodnie nieustannego napięcia nerwów. Ale „Kazik" nigdy nie oszczędzał siebie. W tym też był konsekwentny.

Nie dane, niestety, było Jankowi zbyt długo działać i walczyć. Przed trzydziestu laty, 2 września 1943 roku, dosięgła go hitlerowska kula.

Oprac. JERZY MAJKA

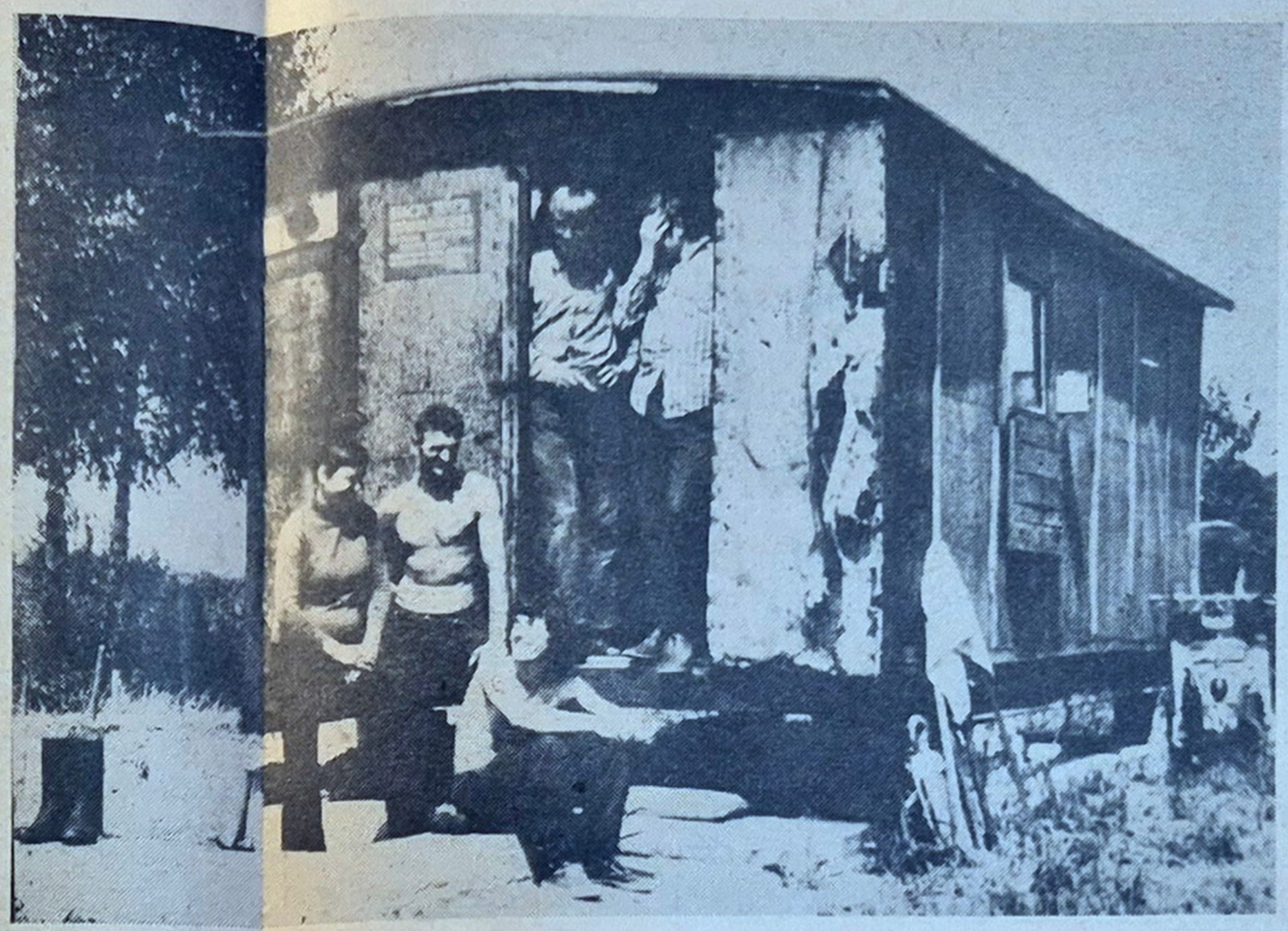

Tak właśnie wygląda „Wóz Drzymały" czyli placówka naukowa prowadzona w ramach hobby na Świdwiu. Od lewej stoją: pani leśniczy Janina Starobrzańska oraz pan Jerzy Noskiewicz. Trzej młodzi ludzie to uczniowie liceów ogólnokształcących ze Szczecina, którzy tu właśnie pracując spędzają wakacje.

C. d. ze str. 1

CO W TRAWIE PISZCZY

Jeżeli chce się poznać kogoś dokładnie, trzeba z nim zamieszkać, taka jest zasada — wyjaśnia pan Noskiewicz. — Ludzie mieszkający przez wiele lat w blokach, poznają siebie po głosach. I słysząc np. przestrogę — idź prędzej, bo spóźnisz się do szkoły — wiedzą, że to pani Ixińska popędza syna... Podobnie i ja. Idąc w teren słyszę wszystko co piszczy w trawie i umiem rozgraniczyć poszczególne głosy: oto Ixiński opowiada coś swojej żonie przy gnieździe, a tamten drugi ćwierkający goni właśnie za pożywieniem...

I tak zaczyna się wielka kolejna przygoda, bo mój pobyt w tych trzcinach stanowi jedno długie pasmo niezwykłych przeżyć czasami wesołych, czasami dramatycznych, zawsze ciekawych.

Kiedyś na przykład — były to początki mojej ornitologicznej kariery — zapragnąłem spotkać się oko w oko z pewnym dużym pięknym ptakiem. Znałem jego „biologiczną metrykę" na wylot. Wiedziałem, że te bagna są miejscem lęgowym żurawi, ale co innego WIEDZIEĆ, co innego WIDZIEĆ. A ja jeszcze nigdy nie widziałem żurawia przy gnieździe.

Był zimny dzień marcowy. Roztopy. Zaopatrzony w lornetkę, notes i ołówek wybrałem się na penetrację terenu. Dochodzę do miejsca, z którego widać całe jezioro, włażę na pień olszyny i przeczesuję okolicę (przez lornetkę oczywiście) metr po metrze. Nagle jak spod ziemi wyrasta żuraw! Widocznie siedział na gnieździe, z którego wstał, kiedy mnie zobaczył. Dzieli mnie od niego stupięćdziesięciometrowy pas trzcin i kawałek trzcinowego ścierniska.

Zdejmuję spodnie, buty jednak wkładam, boję się bowiem, by nie pokaleczyć nóg. Nie ma złych dróg dla ornitologa. Idę. Woda do pół łydek, nie czuję nawet zimna. Jest gniazdo! Misternie ułożone z gałęzi, ma dobre półtora metra średnicy. Leżą w nim dwa ogromne jaja. Zmierzyłem wszystko, opisałem w notesie, a mój żuraw się tym wcale nie przejął — łazi dookoła. Wtedy sobie uświadomiłem, że w pobliżu żurawi zazwyczaj gnieździ się bąk, ptak już dość rzadki z rodziny czaplowatych. Mój żuraw łazi akurat wokół pozostawionej na tym ściernisku kępy trzcin i jakby tam nawet zaglądał.. Nagle widzę, że ptakowi woda sięga już brzucha. Jeśli jest tam tak głęboko, to nie dobrnę, zapadnę się po pas! Ostrożnie jednak, ale idę. I oto dociera do mojej świadomości, że żuraw robi mnie w

W sieci właśnie wpadł wodnik.

łódkę, a o wpół do siódmej byłem na wysuniętym zakolu wody — tak mi się przynajmniej zdawało i nagle naszła mgła. W przeciągu dosłownie kilku minut dookoła zrobiło się jedno wielkie mleko. Wiem, Stacja niedaleko. Ale, że jezioro zarasta, a między trzcinami znajduje się masa oczek wodnych i trzęsawisk, wystarczy jeden fałszywy krok i nikt tu mnie nigdy nie odnajdzie. Zdaję sobie również z tego sprawę, że człowiek nie potrafi iść stale po linii prostej, kiedy nie ma stałego punktu odniesienia. Jest w tych szuwarach masa dzików. Wybieram więc najszerszą z wydeptanych przez nie ścieżek i idę. Coraz to słyszę pochrząkiwania i szum tratowanych zarośli. Za godzinę zapadnie zmrok, przez tę godzinę muszę dojść do brzegu. Ale dzicza ścieżka rozchodzi się w dziesiątki innych, licho wie, która dokąd wiedzie. I ciągle mi się wydaje, że „moja" dróżka kręci się w koło, że właśnie przed chwilą tu byłem.

Kluczę już dobrą godzinę, by stwierdzić, że popełniam bzdurę, że muszę odnaleźć jakiś znak z zewnątrz. Jest już zupełnie ciemno. I oto słyszę ptaki. Gdzie kaczki, tam woda. Ale wody tu mnóstwo, a ja muszę dojść do tafli jeziora. Z jednej strony słyszę kwakanie większej ilości kaczek. To na pewno ten brzeg koło „Helgolandu", wysepki, którą tak nazwaliśmy z powodu rozwieszonych tam sieci o takiej

„Helgoland" — tak właśnie wyglądają sieci o tej nazwie.

przysłowiowego konia. Jest bowiem zupełnie płytko, a ptak, widocznie, żeby mnie odstraszyć, chodzi na ugiętych łapach! Kępa trzcin była pusta. Chytrus umiejętnie wyprowadził mnie w pole odciągając od własnego gniazda...

ZAGUBIONY W MGLE

Moczary i trzciny to miejsca bardzo niebezpieczne. Śmiało mogę powiedzieć, że znam teren 380 hektarów rezerwatu dobrze. Obchodziłem go nieraz, ale przyznam, przejście tego jeziora kosztuje mnie tyle nerwów i energii co marsz pieszy ze Szczecina do Kostrzynia. A jednak, żeby obserwować ptaki, trzeba chodzić.

Właśnie pewnego popołudnia, kiedy przewieziono mnie łódką na drugi koniec jeziora, nagle zachciało mi się je obejść. Dochodziła 17.00, kiedy opuściłem

właśnie nazwie. Kiedy tam dotrę, będę jak w domu. Gdzie tam! Wyszedłem przy małym jeziorku, niemal w tym samym miejscu, gdzie wysiadłem z łódki przed kilkoma godzinami! Postanawiam więc, że będę jezioro obchodził dookoła...

Po godzinie dwudziestej drugiej mgła legła i na niebo wyszły gwiazdy. Znam bardzo dokładnie ich układ w stosunku do jeziora, bo nieraz w nocy naganiamy do sieci śpiące ptaki (właśnie na „Helgolandzie"). Wybrałem jedną z nich. Żeby dojść do stałego lądu musiałem ią stale mieć po lewej ręce. Przyznam, że nie przychodziło mi to łatwo. Ciągle mi się zdawało, chociaż przeczyło temu położenie gwiazdy, że kręcę się w kółko. W pewnym momencie poczułem, że grunt zaczyna mi się podnosić pod stopami. Byłem na wale otaczającym jezioro.

INWAZJA SOKOŁA

Na terenie naszego rezerwatu znajdują się gniazda niezwykle rzadkiego ptaka drapieżnika — birkuta bielika. Ten orzeł posiada swoje ulubione miejsce, w pobliżu którego najchętniej poluje. Jest nim maleńka wysepka na jeziorze. Birkut bielik posiada potężne szpony, mocny dziób, a rozpiętość skrzydeł dorosłego osobnika sięga do dwóch metrów! Właśnie gniazdo jednego z bielików wzbudziło kiedyś mój niepokój.. postanowiłem więc w nie zajrzeć. Wdrapuję się na sosnę — gniazdo jest olbrzymie — zaglądam do wnętrza i co widzę? W gnieździe, trochę z boku, zbudowane jest drugie, dużo mniejsze, w którym leżą cztery jaja sokoła wędrownego! A więc ten dużo mniejszy ale bardzo zwinny ptak wygonił ptasiego króla rezerwatu z jego własnego domu!

W tym samym momencie usłyszałem tuż nad głową głośne ti! ti! ti! i coś niby pocisk przemknęło między prawym policzkiem a gałęzią. Za moment znowu — ti! ti! ti! I pocisk przeleciał po lewej stronie twarzy!

Spojrzałem do góry, para sokołów wzbijała się wysoko, aby po kilku sekundach powtórzyć atak. I tak bezustannie, na okrągło.

Kolega, który został na dole, krzyczał, żebym uciekał, bo zginę marnie, ale ja musiałem zmierzyć gniazdo, zmierzyć jajka ptaków i zrobić zdjęcie, tej bądź co bądź niecodziennej eksmisji orła przez sokoła. Sokół wędrowny jest najszybszym ptakiem w momencie atakowania. Rozwija on prędkość do 170 kilometrów na godzinę, a jego cała konstrukcja przystosowana jest do bardzo szybkich lotów. Ja na tym drzewie stwierdziłem, że posiada on również genialną wprost zdolność obliczenia odległości. Między moją głową a gałęziami nie było więcej wolnej przestrzeni, niż trzydzieści centymetrów!

Oczywiście sokoły nie chciały we mnie trafić, tylko wystraszyć, co im się zresztą udało. Kiedy wreszcie zszedłem z tej sosny, kolana miałem jak z waty.

Przygody pana Jerzego Noskiewicza spisała

WIESŁAWA MROCZEK
Foto: A. Kamiński

Ani tygrys, ani lew

Publiczność zwiedzająca ogród zoologiczny w Kalkucie może od niedawna oglądać nowe, wyhodowane przez tamtejszych specjalistów zwierzę. Tigon, będący plonem skrzyżowania tygrysa bengalskiego z afrykańską lwicą (nazwany tak od angielskich słów tigre i lion), wzbudza powszechną sensację. Ma obecnie sześć miesięcy i chowa się dobrze. Na razie przypomina bardziej tygrysa niż lwa. Ma skórę jasno-brązową z wyraźnymi ciemniejszymi pręgami, na brzuchu jednak nieomal białą. Jego uszy, kształtem podobne do uszu tygrysa, są natomiast koloru takiego jak u lwa. Biolodzy zastanawiają się, czy zwierzak gdy dorośnie, będzie miał lwią grzywę i czy będzie ryczał jak lew. (jk)

ORLE PIÓRA

KRYSTYNA I ALFRED SZKLARSCY (6)

ILUSTROWAŁ JAN ROCKI

Tehawanka zbudził się, otworzył oczy. W wigwamie jeszcze panował półmrok. Zaczął nadsłuchiwać. Nie, to nie było złudzenie. Przeraźliwe okrzyki wojenne rozbrzmiewały coraz silniej od strony jeziora. Tehawanka zerwał się z posłania, podskoczył ku wyjściu. Uchylił maty.

Niebo już różowiło się na wschodzie. Z porannej mgły nad jeziorem wyłaniały się łodzie płynące ku wybrzeżu. Łodzie rozciągnięte w długi szereg wypełnione były zbrojnymi ludźmi. Niektórzy z nich klęczeli trzymając w rękach napięte do strzału łuki. Wojenne krzyki potężniały z każdą chwilą.

Czipewejowie wybiegli z wigwamów. Nawoływania mężczyzn, lamenty kobiet i płacz dzieci mieszały się z wyciem kundli. Wojownicy już z bronią w rękach biegli ku łodziom wyciągniętym na piaszczysty brzeg jeziora.

Tehawanka zaskoczony nieoczekiwanym widokiem spoglądał z zapartym tchem. Rozżarzonym wzrokiem patrzał na wojowników w łodziach. Natychmiast przypomniał sobie rozmowę z Lisem podczas zbierania soku klonowego. Mówili, że należy czekać cierpliwie, ponieważ lody na jeziorze już zamieniły się w wodę.

„To Lisy atakują — szepnął. — Zaskoczyli Czipewejów, przybywają z najmniej oczekiwanej strony..."

Naraz w samym środku obozu rozbrzmiała bitewna wrzawa. Tehawanka pojął, że nie ma ani chwili do stracenia. Szybko nałożył na stopy mokasyny podarowane mu przez Mem'en gwa, chwycił opończę i wybiegł z wigwamu. Jeńcy z plemienia Lisów właśnie już umykali ku wybrzeżu jeziora. Dwaj Czipewejowie leżeli martwi obok ich wigwamu.

Tehawanka odgadł, że Lisy chcą rzucić się do wody i popłynąć ku swoim. Jednak kilkunastu czipewejskich wojowników już spychało kanu na jezioro, by powstrzymać wroga. Lada chwila mogli jeńcom odciąć drogę. W obozie tymczasem wzrastał zamęt. Nawoływano, aby kobiety, dzieci i starcy kryli się w lesie. Mężczyźni biegli do łodzi.

Tehawanka pojął, że każda chwila zwłoki może okazać się zgubną. Lisy przelali krew, więc gdy ktoś go zauważy, gniew Czipewejów obróci się przeciwko niemu. Wbiegł między wigwamy. Korzystając z zamieszania chciał przede wszystkim odzyskać świętości ojca. Zatrzymał się przed wigwamem Ah-mika. Szarpnięciem ręki odsłonił matę. Ujrzał tylko dwie kobiety, żonę Ah'mika i Mem'en gwa. Pakowały do skórzanych worków najcenniejsze przedmioty.

Na widok Tehawanki pierwsza żona Ah'mika krzyknęła przestraszona. Mem'en gwa cofnęła się zalękniona w głąb wigwamu. Tehawanka dłonią nakazał milczenie. Podbiegł do ściany, na której wisiała broń. Żona Ah'mika natychmiast rzuciła się na niego, lecz silnie odepchnięta, upadła w kąt wigwamu.

Tehawanka przewiesił przez ramię kołczan z łukiem i strzałami. Potem zatkał za rzemieniem przewiązanym w pasie tomahawk o stalowym ostrzu i nóż. Tak uzbrojony przystanął przed trójnogiem z wojennymi trofeami Ah'mika. Z nabożną czcią zdjął zawiniątko ze świętymi przedmiotami i tarczę ojca.

— Nie bierz tego! — cicho zawołała Mem'en gwa. — To duma Ah'mika, a on był ci życzliwy!

Tehawanka zbliżył się do dziewczyny zmierzył ją przenikliwym wzrokiem i rzekł:

— To święte talizmany mego ojca, którego zabójcą jest Ah'mik.

Mem'en gwa pobladła. Teraz już wiedziała, że młody jeniec szukał pomsty. Wypełniał swój obowiązek.

— Tobie jednak Ah'mik ocalił życie — szepnęła.

Tehawanka spochmurniał.

— Pamiętam o tym, ale jeśli teraz tutaj nadejdzie, będę musiał go zabić!

Wtem pewna myśl przyszła mu do głowy. Schwycił dziewczynę za ramię, mówiąc:

— Mem'en gwa, bierz trochę żywności i chodź ze mną! Śpiesz się, zanim tu przybędzie Ah'mik!

Dziewczyna cofnęła się wystraszona, lecz Tehawanka wydobył zza pasa nóż.

— Śpiesz się, jeśli miłe ci życie! — ponaglił.

Mem'en gwa wrzuciła do skórzanego worka trochę żywności. Tehawanka podał jej ciepłą derkę i popchnął ku wyjściu. Nim wyszedł z wigwamu, odwrócił się ku żonie Ah'mika.

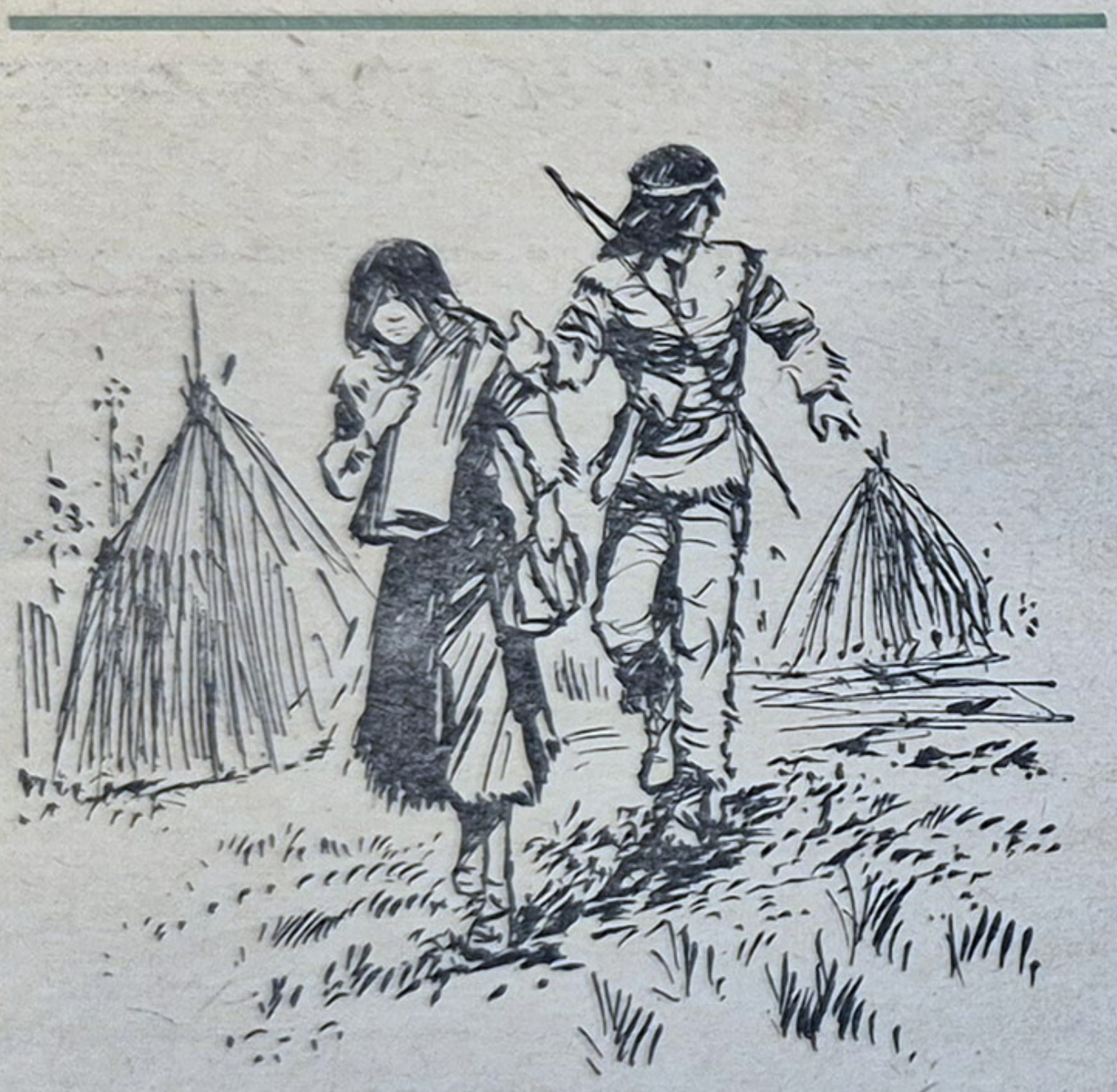

— Jeśli pościg nas dogoni, będę musiał zabić Mem'en gwa, aby chociaż w ten sposób uradować cienie mego ojca. Pamiętaj o tym i milcz!

Obóz był już opustoszały. Tylko od strony jeziora niósł się potężniejszy gwar bitewny. Tehawanka przemykał pomiędzy wigwamami popychając przed sobą zalęknioną dziewczynę. Miał jeńca, wypełnił wolę Ducha Opiekuńczego. Wkrótce znaleźli się poza obozem. Teraz podążył ku odnodze jeziora, którą niedawno płynęli do klonowego lasu.

Musieli przebyć znaczne wzgórze. Gdy stanęli na szczycie, Tehawanka pozwolił dziewczynie odpocząć. Obydwoje spojrzeli ku obozowi. Jak na dłoni widać było wigwamy przyczajone wśród rozłożystych drzew, piaszczyste wybrzeże.

Bitwa na jeziorze trwała w całej pełni. Nie można było odgadnąć, na czyją stronę przechylała się szala zwycięstwa, ani odróżnić wojowników Lisów od Czipewejów. Indiańskim zwyczajem wojownicy zachowywali zwarty szyk bojowy, tylko do chwili bezpośredniego starcia się z przeciwnikiem. Potem każdy już prowadził walkę na własną rękę i stosował własną taktykę. Toteż bitwa na jeziorze przemieniła się w walkę poszczególnych załóg kanu. Rozgorzały pościgi, taktyczne ucieczki i zwody. Tu i tam na łodziach sczepionych burtami kłębiły się ciała ludzi walczących wręcz, od czasu do czasu rozbrzmiewał huk broni palnej, w powietrzu świstały chmary strzał z łuków, topór uderzał o maczugę. Wojenne okrzyki zwycięstwa i głosy trwogi konających szeroko niosły się po jeziorze. Gdzieniegdzie załogi wywróconych bądź rozbitych kanu ratowały się ucieczką wpław.

Naraz na jeziorze ukazało się kilka łodzi, nad którymi czerniły się jakby rozpostarte skrzydła ptaków lecących nisko nad wodą.

— Spójrz, Mem'en gwa! Cóż to za dziwne łodzie się zbliżają? — zawołał Tehawanka.

— Pomoc nadpływa dla Lisów — odparła dziewczyna i ukryła twarz w dłoniach.

— A może Ah'mik pośpiesza z odsieczą? Członkowie Midewiwin odbywający obrzędy poza obozem na pewno już zostali powiadomieni o napadzie.

— To Lisy — odpowiedziała Mem'en gwa rwącym się głosem. — Tylko oni zwiększają w ten sposób szybkość swoich kanu.

— Nie smuć się przedwcześnie. Los bitwy jeszcze nie jest przesądzony.

— Czy naprawdę tak myślisz? — zapytała Mem'en gwa spoglądając na Tehawankę.

Skinął potakująco głową.

— Skoro Lisy nie plądrują obozu, to znak, że do tej pory nie zdobyli przewagi — potwierdził.

— Tak, tak, w obozie ich jeszcze nie ma — dodała Mem'en gwa nieco pocieszona.

— Powiedz mi, cóż to unosi się nad łodziami Lisów? — zagadnął Tehawanka.

— To skóry zwierzęce lub koce — wyjaśniła. — Lis stojąc przydeptuje stopami obydwa dolne rogi skóry, a dwa górne trzyma rozpostarte w rękach, żeby wiatr popychał kanu. Oni często tak robią, gdy wiatr im sprzyja.

Tehawanka słuchał wyjaśnień obserwując bitwę. Zaledwie Mem'en gwa umilkła, zza skały wdzierającej się w jezioro poczęły ukazywać się nowe łodzie. Płynęły długim szeregiem. Część z nich ruszyła ku nadpływającej pomocy dla Lisów, inne zawróciły do zatoki, w której trwała bitwa. Rozbrzmiewał przeraźliwy bojowy okrzyk.

— Teraz, teraz Ah'mik przybywa z pomocą! — zawołała Men'en gwa klaszcząc w dłonie.

Nie myliła się, wkrótce po gwałtownej walce pojedyńcze łodzie zaczęły wymykać się w kierunku otwartych wód jeziora. Lisy uciekali...

Tehawanka znów położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

— Twoi zwyciężają, tak jak przepowiedział wasz szaman. Idziemy! — rozkazał.

C. D. N.

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. 29-35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 7, tel. 26-75-39. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-624 Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł. 6.30, kwartalna zł. 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa — Książka — Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa — Książka — Ruch" 00-840 Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa — Książka — Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 3707. R-93

LUMINARZE POLSKIEJ NAUKI

PROFESOR Kazimierz Michałowski — znakomity archeolog, egiptolog i historyk sztuki — jest w Polsce inicjatorem egiptologii i archeologii śródziemnomorskiej, nauk, które przed nim praktycznie nie istniały. Dzięki swej rozległej wiedzy i niezwykłej intuicji naukowca; dzięki archeologicznym odkryciom, rozsławił naukę polską w świecie. W roku bieżącym otrzymał nagrodę państwową za całokształt swej naukowej pracy.

Pierwszy raz wystawiał wykopaliska egipskie z Edfu w Muzeum Narodowym w Warszawie w roku 1936. Od tego czasu, wykreślając lata hitlerowskiej niewoli, pracuje w wielu punktach tzw. Basenu Morza Śródziemnego: na Cyprze, w Palmirze syryjskim, w Egipcie, w Sudanie i ostatnio interesuje się problemem starożytnej Kartaginy.

Odkrywamy starożytną KARTAGINĘ

Historia opowiada o siedmiodniowej zaciekłej obronie Kartagińczyków, o tym jak znakomity wódz Hasdrubal w obliczu klęski postanowił zginąć wraz z rodziną w płomieniach świątyni Eskulapa i jak w ostatniej chwili się załamał, błagając Rzymian o darowanie mu życia, i jak żona Hasdrubala, czując pogardę dla męża, rzuciła się z dziećmi w płomienie. „Kartagina będzie zburzona" — zdecydował wówczas senat rzymski i zdobyte miasto zniknęło z powierzchni ziemi.

Tragiczne te wypadki rozegrały się wiosną 146 roku przed naszą erą, a więc ponad 2 tysiące lat temu. O tym co dziś się dzieje na miejscu starożytnej Kartaginy opowiada prof. Michałowski.

ODBUDOWYWANA PRZEZ POLSKICH NAUKOWCÓW SŁYNNA ŚWIĄTYNIA GROBOWA KRÓLOWEJ HATSZEPSUT W DEIR EL BAHARI.

— Przed kilku laty UNESCO zwróciło się do mnie z prośbą o opracowanie projektu wykopalisk na terenie starożytnej Kartaginy. Chodziło o pewien ściśle określony teren, leżący po obu stronach szosy łączącej stolicę Tunezji, Tunis, z ruinami Kartaginy. Wówczas, ze względu na rozliczne zajęcia na terenie Basenu Morza Śródziemnego, nie mogłem osobiście zająć się sprawą. Zaproponowałem więc na to stanowisko mojego ucznia dr Andrzeja Daszewskiego, który był sekretarzem Stacji Archeologii Śródziemnomorskiej w Kairze. UNESCO zgodziło się na moją propozycję i dr Daszewski wyjechał do Tunisu, aby podjąć tę odpowiedzialną pracę, koordynując ją z grupą międzynarodowych naukowców. Z mojej inicjatywy do Tunezji wyjechała misja wstępna, która miała charakter rozpoznawczy. Brali w niej udział archeologowie, historycy i specjaliści od metody elektromagnetycznej, która pozwala na wykrycie zarysu ruin znajdujących się pod powierzchnią ziemi.

Obecnie dokonano już sondażu elektromagnetycznego, sprawdzono położenie ruin. Zyskaliśmy tą pracą uznanie w międzynarodowych kołach naukowych. Dyrektor generalny UNESCO uroczyście otworzył teren wykopalisk i obecnie prace są w toku.

Wiele sensacji, a nawet zazdrości wśród naukowców świata spowodował fakt zlecenia profesorowi Michałowskiemu odbudowy słynnej świątyni królowej Hatszepsut w Egipcie. Świątynia ta znajduje się w Deir el Bahari w Tebach, naprzeciw Luksoru. Architekt królowej Senmut, wmontował gmach w zerwy skalne w taki sposób, jakby architektura była dalszym ciągiem rzeźby gór. Jest to najpiękniejsza ze świątyń starożytnego Egiptu. W pierwszym wieku naszej ery trzęsienie ziemi zniszczyło górny taras budowli, lecz zachowały się w dobrym stanie kamienne bloki zwalonej świątyni.

— Od dziesięciu lat — mówi profesor — nasza Stacja Kairska na zaproszenie rządu egipskiego prowadzi prace rekonstrukcyjne w Deir el Bahari. W pierwszym okresie oczyszczono żleb skalny między świątynią Mentuhotepa (12 dynastia) a świątynią Hatszepsut. I nagle rewelacja! Między świątynią królowej Hatszepsut a świątynią o kilkaset lat od niej starszą, faraona Mentuhotepa, odkryto świątynię Totmesa III. Znakomity ten władca zlikwidował królową i jej ulubieńca Senmuta, budowniczego świątyni, i sam kazał dla siebie wybudować sanktuarium w miejscu, które górowało nad świętym okręgiem. Dziwne, bo przez kilkadziesiąt lat pracowały w tym miejscu misje: francuska, amerykańska i angielska, i żadna z nich nawet nie podejrzewała istnienia tej świątyni. Więcej, świat nauki był przekonany, że na terenie Egiptu wszystkie świątynie już od dawna zostały odkryte. Od czasu odkrycia grobowca faraona Tutenchamona nie było większego odkrycia i ten sukces stał się właśnie naszym udziałem. Na terenie świątyni Totmesa III znaleziono piękny, dwumetrowej wysokości posąg faraona wykonany w czarnym granicie. Ozdobi on niedługo salę muzeum w Luksorze. Prace na terenie świątyni trwają dalej. Ogranicza się je do tzw. miesięcy zimowych, kiedy temperatura jest niższa, w granicach plus 20—25 st. C. W lecie upały uniemożliwiają prace.

Palmira, nieistniejąca stolica nieistniejącego już państwa o tej samej nazwie, ważne kiedyś centrum handlowe, bogaciła się na handlu międzynarodowym. Władcy jej rozbudowywali stolicę, upiększając ją świątyniami i kolumnowymi ulicami. Za czasów królowej Zenobii Palmira osiągnęła szczyt swojej potęgi i stała się groźna dla Rzymu. Rzym rozprawił się z konkurentką; Palmira została zniszczona, a królowa Zenobia uprowadzona do Rzymu. Na zlecenie rządu syryjskiego polska ekipa archeologiczna podjęła prace na terenie Palmiry, starożytnego miasta-oazy, leżącego na skrzyżowaniu dróg karawanowych między Zatoką Perską a Morzem Śródziemnym.

— W Palmirze — mówi profesor — pracuje nasza misja pod moim kierunkiem już od roku 1958. Dokonaliśmy poważnych odkryć. Obecnie trwają prace w tzw. Obozie Dioklecjana i Dolinie Grobów. Problem słynnych grobów w Palmirze był od dawna sporny wśród naukowców, dopiero rozwiązali go Polacy i dziś uważa się nas za wybitnych specjalistów w tej dziedzinie. W Polsce wydaje się specjalny rocznik pt. „Studia Palmyreńskie" poświęcony tym wykopaliskom. Pierwszego sierpnia wyruszyła nasza 15 wyprawa do Palmiry. Kieruje nią mój uczeń doc. dr Michał Gawlikowski.

Z prof. Kazimierzem Michałowskim rozmawiał:

MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

FARAON TOTMES II, POSĄG Z CZARNEGO GRANITU, ZNALEZIONY W ŚWIĄTYNI ODKRYTEJ PRZEZ EKIPĘ PROFESORA MICHAŁOWSKIEGO.

WIELKĄ REWELACJĄ BYŁO ODKRYCIE WCZESNOŚREDNIOWIECZNEJ KATEDRY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ W FARAS W NUBII, A W NIEJ WSPANIAŁYCH FRESKÓW Z VIII do XIII WIEKU NASZEJ ERY. FRESKI TE ZDJĘTE ZE ŚCIAN KATEDRY ZDOBIĄ DZIŚ SALE MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE, SĄ ZBIOREM UNIKALNYM W SKALI ŚWIATOWEJ. NA ZDJĘCIU: ARCHANIOŁ I ŚWIĘTY. JEDEN Z FRESKÓW ODKRYTYCH W KATEDRZE W FARAS.

PODWODNY EGZAMIN „KRABA"

Jeszcze nigdy określanie mórz i oceanów „ekonomicznym słońcem ziemi" nie było tak bliskie prawdy, jak dziś. Wraz z dokonującym się postępem technicznym oraz zwiększaniem zapotrzebowania na produkty pokarmowe, paliwo, surowce mineralne i chemiczne, oceany ze swoimi zasobami przykuwają coraz silniej uwagę i budzą coraz większe nadzieje.

Rybackie statki przyszłości w ciągu najbliższych 10—15 lat charakteryzować będzie nie tylko mechanizacja i automatyzacja połowów i przetwórstwa, ale także całkowita zmiana technologii, polegająca na przetwarzaniu zasobów mieszczących się w wodach oceanów na białko, tłuszcze, pasze itp. — na miejscu, to znaczy w rejonach połowów.

Natomiast później, po 20—30 latach, przewiduje się zastosowanie specjalnie skonstruowanych, zdalnie sterowanych poszukiwaczy ryb, które mają naprowadzać pojedyncze statki łowcze lub całe flotylle, na miejsca obfitujące w rybę. Będą to prawdopodobnie torpedy dla przestrzeni wodnych i traktory dla dna morskiego; zastosowana zostanie również technika laserowa dla celów połowowych.

Automat „Krab" — podwodny, zdalnie sterowany aparat, zbudowany w Instytucie Oceanografii Akademii Nauk ZSRR, brał ostatnio udział w eksperymentach mających na celu zbadanie Morza Śródziemnego. Zasada działania i przeznaczenie „Kraba" czynią go podobnym do księżycowego „Łunochoda". Podobieństwo polega nie tylko na samodzielnym przenoszeniu się z miejsca na miejsce w niemniej trudnym od księżycowego terenie, ale także na wyposażeniu „Kraba" w system telewizyjny, dający operatorowi możliwość dokładnego obserwowania dalekich, niedostępnych obszarów ze wszystkimi szczegółami. Tyle tylko, że łączność z „Krabem" utrzymywana jest za pomocą kabla, ponieważ woda, jak wiecie, nie przepuszcza fal radiowych.

I jeszcze jedno podobieństwo między „Krabem" a „Łunochodem" — „Krab" jest także zbieraczem gruntu z dna morskiego oraz przedstawicieli morskiej flory i fauny interesującej naukowców. Służą mu do tego specjalne manipulatory. Radziecki automat świetnie zdał swój śródziemnomorski egzamin i ma być użyty do dalszych badań w różnych akwenach mórz i oceanów.

Tak więc podwodnej rodzinie pojazdów i automatów stworzonych przez najnowszą technikę, a widzianych już oczami pisarzy powieści fantastycznych przed wieloma laty, przybył nowy krewniak, który od początku dobrze się zapowiada. (jk)

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

CZEŚĆ!

Popatrzcie tylko jaki jestem elegancki! I z kwiatami! To oczywiście z okazji nowego roku szkolnego. Kwiatki są dla Was wraz z najwspanialszymi życzeniami na cały rok.

*

Niektórzy moi Czytelnicy w czasie wakacji dokonali rozmaitych odkryć i wynalazków. Wiele z nich warto opublikować. Oto co wymyślił Kazik Małachowski, który był na obozie wędrownym (piechotą, ale to wynika z wynalazku).

— Turystyczny materac — pisze Kazik — ma zastosowanie nie tylko w nocy, kiedy na nim śpimy, ale i w czasie marszu! Piechurzy maszerują i wypoczywają na zmianę, co widać na rysunku. Dodatkowa korzyść jest taka, że maszerujący jest schowany w cieniu materaca, a wypoczywający może opalać się w pełnym słońcu.

Kazik proponuje, żeby zmiany robić np. co godzinę.

*

Urszula G. przysłała mi takie anegdotki:

— Jasiu, powiedz mi czy rzeczownik „s p o d n i e" jest w liczbie pojedynczej czy mnogiej?

— Na górze, panie profesorze, jest w liczbie pojedynczej, a na dole w mnogiej!

— No, jaki to będzie wynik?

— To? Wynik następnego meczu z Bułgarami!

Na zakończenie humorek wyszperany dla mnie przez Urszulę Bimler i Małgosię Najemnik.

Do zobaczenia
Wasz Rzep

PS
Nagrodę „Szperacz Tygodnia" przyznaję Urszuli G. (honorowo, bo nie zdradziła swego nazwiska ani adresu).

— To mój wakacyjny przyjaciel. Jesteśmy nierozłączni, panie profesorze!

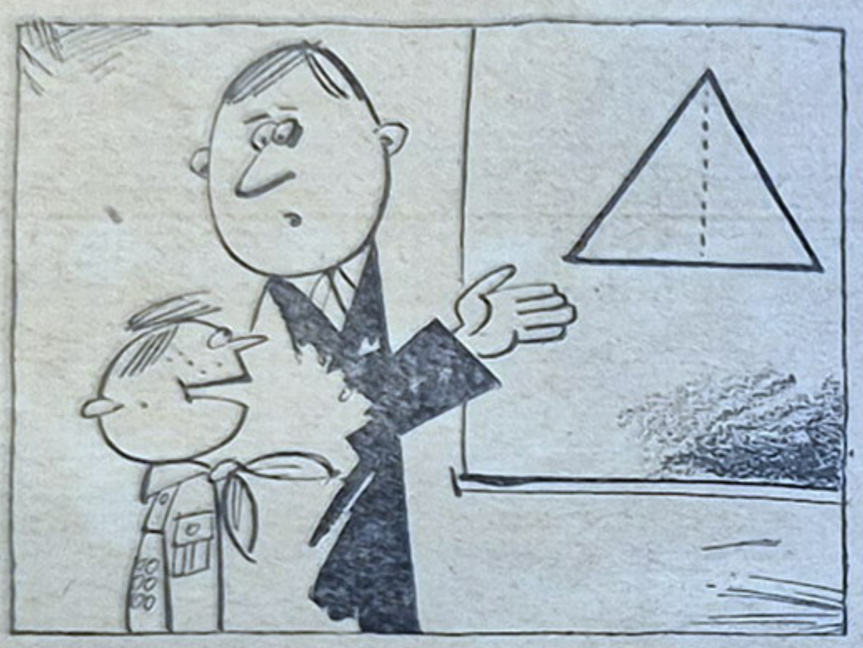

— Jak nazywa się ta figura geometryczna, Adasiu?
— N a m i o t, panie profesorze!

— On naczytał się w czasie wakacji o zatruciu atmosfery w mieście...

Rys. **Włodzimierz Lewiński**

— Człowieku, mówiłem ci przecież żebyś jej nie myl proszkiem do prania!